

Jadwiga Żylińska

STRZAŁY O ZACHODZIE SŁOŃCA

NOWELA FILMOWA

Introdukcja

Od czasu do czasu dostaję odbitki ksero artykułu o moich stronach rodzinnych, które dawno opuściłam i rzadko odwiedzam. Niekiedy znajduję w nich wzmianki o moim ojcu, powstańcu wielkopolskim, lekarzu i społeczniku.

Pewnego razu dostałam taką odbitkę o strajku robotników rolnych, fernali, jak u nas w Wielkopolsce mówiono. Byli zabici i ranni. Ojciec mój pojechał opatrzeć rannych i jednego skierował do szpitala. Z tej racji właśnie przysłano mi ów artykuł.

I wtedy ożyły w mojej pamięci sprawy, jakie wydarzyły się w moim dzieciństwie i odbijały się echem o ściany naszego domu i choć zdawały się całkowicie zapomniane, teraz podniosły się jak fantomy i zaczęły wieść samodzielną egzystencję. Albowiem na owej odbitce bynajmniej się nie skończyło. Parę lat później doszła do tego relacja Julietty o wyznaniu, jakie zrobiła jej panna Amelia, heroina tej opowieści.

Pannę Amelię pamiętałam dobrze, jako że widywałam ją – z przerwami – w ciągu wielu lat, zarówno przed jak i po wojnie.

Oficer, główna postać, po strzale nie dochodzi już do głosu. Identyfikacja jego z porucznikiem, który wszedł w życie panny Amelii raczej przypadkowo i na zawsze tam pozostał, jest oparta na poszlakach.

1.

Zacznę, jak przystało na opowieść retro, od miejsca, dokoła którego toczyła się akcja. Był to pałac. Pałac z czerwonej cegły, taki, jakie spotkać można w Wielkopolsce i na Śląsku, z wieżyczką o paru kondygnacjach, na samym wierzchołku z małymi okrągłymi lukarnami. Pałac od paru wieków znajdujący się w tej samej rodzinie świadczył o gustach następujących po sobie pokoleń, a także o zmiennych losach poszczególnych członków, mniej lub bardziej uwikłanych w historię narodową.

W sali jadalnej zastawionej meblami mahoniowymi Sheraton królowały na ścianach portrety rodzinne, wśród nich Henryk Dąbrowski, chluba rodu, acz przodek po kądzieli, w mundurze generała wojsk polskich. W buduarze obitym jedwabną tapetą, przywiezioną z Francji w końcu dziewiętnastego wieku, ale już żelazną koleją, znajdowały się najcenniejsze pamiątki z epoki napoleońskiej. Sekretarzyk z drzewa mahoniowego z Martyniki, według tradycji należący do

Josephiny Beauharnais, nabyty na aukcji w Paryżu przez dziadka obecnego właściciela. Wśród miniatur dam i kawalerów biorących udział w epopei napoleońskiej był też marszałek Davout, wcale nie krewny, lecz odziedziczony po prababce, z którą niejedną noc, wyrażając się eufemistycznie, przeבלował.

Gabinet pana domu zdobiły sztychy angielskie i broń myśliwska firmy Halland & Halland. Dokoła pałacu rozciągał się park przechodzący w iglasty gąszcz, nieprzenikalny dla wzroku. W świerkowym lasku była kamienna płyta z wrytymi inicjałami i roczną datą śmierci przodka poległego po powstaniu w jakiejś potyczce czy incydencie, kiedy przedzierał się z Wielkopolski w okolice, gdzie jakoby jeszcze tliło się powstanie. Płyta była przeznaczona na sarkofag, lecz, że zwłok nigdy nie odnaleziono albo nie sprowadzono, stanowiła raczej symbol niż grobowiec, jeszcze jeden znak klęski, acz pełen chwały. Z drugiej strony parku, przeciwległej do gąszczu świerkowego, rozciągały się rozkoszne kwietniki i klomby róż, alejki i dróżki o'rosnięte kwitnącymi krzewami, jedna chińskim jałowcem. Klomby i gazony przechodziły w rozległą polanę, uśianą kwiatami, niczym tło mille fleurs na gobelinie.

W tej scenerii, jak z telewizyjnego serialu angielskiego, mieszkali starsi państwo z dwojgiem dzieci (starszy syn, żonaty, mieszkał w sąsiednim majątku) – synem Józkiem i córką Amelią, cierpiącą na ataki szaleństwa. Jeżeli ataki nie były zbyt groźne, opiekę nad chorą przejmowali Piwowarczykowie, stary kamerdyner z żoną, i pilnowali jej dniem i nocą strzegąc, by nie zrobiła sobie i drugiemu, lecz przede wszystkim sobie, nic złego. Wzywano też lekarza z pobliskiego miasta powiatowego, ażeby zastosował jakieś środki uspokajające, w ostateczności skierował pannę Amelię do zamkniętego zakładu psychiatrycznego.

Ojciec mój pełnił w owym czasie – było to w niejaki czas po wojnie polsko-bolszewickiej – służbę jako lekarz wojskowy, gdy poproszono go do panny Amelii z zapytaniem, kiedy przysłać karetę. Mieliliśmy wówczas własne konie i ordynans był stangretem, więc karetą była zbędna. Ojciec jeździł jeszcze kilkakrotnie do panny Amelii i pomógł jej na tyle, że nie trzeba jej było nigdzie zawozić, po czym jak zwykle popadła w apatię. Raz zapytała, dlaczego u nich nie bywa ten lekarz w mundurze majora, który jej pomógł.

Starsi państwo niezwłocznie przystąpili do działania. Zapytali przez telefon, kiedy mogliby złożyć moim rodzicom wizytę i pewnego dnia o piątej po południu zatrzymała się przed naszym domem karetą zaprzężona w parę siwków i z karety wysiadł pan pułkownik i jego żona, rodzice panny Amelii. Nigdy nie doszłam, co prawda specjalnie nie dociekałam, dlaczego starego pana nazywano pułkownikiem i w jakiej armii dosłużył się tego stopnia – chyba nie w napoleońskiej? Raczej w powstaniu sześćdziesiątego trzeciego roku, a może wprost przeciwnie był pułkownikiem w armii pruskiej? Powszechnie wiadano, że był społecznikiem i działaczem, potomkiem powstańców, a nawet lewego skrzydła powstańców, prawnikiem albo pra-prawnikiem deputowanego z Koła Kaliskiego. Na ciemnym surducie nosił jakieś odznaczenia – może był Kawalerem Maltańskim? – i nade wszystko sobie cenił, gdy tytułowano go pułkownikiem, co chętnie czyniono.

Potem rodzice rewizytowali starych państwa i zostali u nich na kolacji. Pułkownik podał ramię mojej mamie, a ojciec prowadził do stołu panią domu, pochodzącą ze znakomitej choć mocno zdegenerowanej rodziny. W każdym pokoleniu trafiał się jeden osobnik upósłedzony na ciele lub umyśle: jeden był garbuskiem, inny był mente captus.

W ten sposób zostały zadziergnięte między naszymi domami stosunki towarzyskie i panna Amelia w asyście dame de compagnie, panny Renaty (ubogiej kuzynki), zaczęła bywać u nas i godzinami przesiadywać z mamą w salonie, wyczekując na pojawienie się ojca i wspólny z nim podwieczorek w jadalni.

Do stołu podawała Julietta, pokojówka w czarnej sukni, białym fartuszkowi i w czepeczku na głowie – jak to w Wielkopolsce i w ogóle na Zachodzie było w zwyczaju, w przeciwieństwie do byłego zaboru rosyjskiego, gdzie pokojówki nie nosiły żadnego uniformu. Ale Julietta była nie tylko pokojówką, ale i zaufaną, domownikiem i po kolacji siadywała już bez fartuszka w jadalni i cerując nasze skarpetki przysłuchiwała się lekturze, którą mama na głos czytywała dzieciom na krótko przed spaniem.

Po podwieczorku ojciec siedł do swoich zajęć, a panie przechodziły do salonu. Na mahoniowym stole leżały ozdobnie wydane książki: Ewangelie z obrazami Giotta, ilustrowane *Dziady*, *Boska Komedia*, album z Wenecji i małe tomiki poetów francuskich, wśród nich *Fleurs du Mal* Baudelaire'a. Baudelaire był zazdrosny o swoją matkę i nienawidził ojczyma, o czym mama w jakiejś rozmowie wspomniała.

– Pani o każdej, absolutnie o każdej rzeczy czy osobie umie coś interesującego opowiedzieć. Ja się tu nigdy nie nudzę – skonstatowała panna Amelia. Bo u siebie, w swoim pałacu z biblioteką napęczniałą tomami klasyków, ustawionych na wielopiętrowych półkach, z przystawionymi mahoniowymi schodkami, na które nikt nigdy nie wchodził, w parku z gąszczem świerkowym i polaną pokrytą kobiercem mille fleurs nudziła się śmiertelnie.

2.

Aż raz –

Na polanie stał porucznik i przez lornetkę lustrował okolicę. Zauważył pałac z czerwonej cegły, stanowiący w rzeczy samej cel jego wyprawy, nie tyle natury militarnej, co aprowizacyjnej. Panna Amelia widziała przez okno, jak zakurzony, w długich butach i polowym mundurze wstępował po schodach pałacu; słyszała kroki w hallu, rozmowę ze służącym i głos brata, który poprosił oficera do gabinetu.

– Powinno przyjąć się go w salonie – oświadczyła. – Idź Reniu i powiedz papie, że przyjechał oficer i Józio przyjmuje go w kancelarii jak ekonoma,

Panna Renata nudziła się nie mniej od panny Amelii; głównym jej zajęciem było wynajdywanie rozrywek, którym oddawały się z pasją i poświęceniem, ale zawsze krótko. Rozwiązywały szarady, układały herbaria, jednak panna Amelia prędko się nużyła, porzuciła zarówno kolekcję motyli, jak suszone zioła. Gdy skarżyła się na nudę, ojciec zalecił jej jako terapię gracowanie ścieżek w parku. Każdego dnia po rannym spacerze wygracowanie jednego odcinka od krzaku berberysu do agawy, a następnego dnia od agawy do rododendronu. Potem krótki odpoczynek na ławeczce i podlanie kwiatów na werandzie, co panna Amelia wypisała sobie w notesie i co załatwiała przedpołudnie. Zostawała jeszcze reszta dnia. I wtedy pewnego popołudnia zjawił się oficer.

Pułkownik, wielbiciel armii, formacji wojskowych, uniformów, hierarchii oficerskiej, orderów, rocznic i obchodów patriotycznych, zaalarmowany przez pannę Renatę kazał porucznika poprosić do salonu, gdzie podano czarną kawę z biskwitami i likierem, w nadziei, że dziarski młody oficer nie odmówi kieliszeczka czy paru kieliszeczków, chociaż sam pułkownik nie będzie mu przy drugim towarzyszyć ze względu na zdrowie.

– Ja wypiję drugi z panem porucznikiem – odezwała się panna Amelia z wypiekami na twarzy.

W wielkim salonie, zastawionym fotelami Louis Quinze na kruchych złotych nóżkach, z kominkiem, na którego płycie stał zegar z amorkiem wykonany ze stopu „ormulu”, postać porucznika w polowym mundurze, odbijająca się w wielkich kryształowych zwierciadłach wносиła jakiś nowy ton, tchnący nadzieją odmiany, choć nikt nie wiedział, jakiego rodzaju to miała być odmiana.

Wygląd miał przyjemny, ale nie było w nim nic szczególnego do zapamiętania. A jednak panna Amelia zauważyła, że przy jaśniejszym czole miał niezwykle ogorzałe policzki i pod drelichem polowego munduru przeżyły się jego muskuly jak u rasowego ogiera. „Tak powiedziała – relacjonowała panna Renata – ogiera. Była niezwykle podniecona, może sprawił to alkohol. Miała wypieki i chrypkę. Zawsze miewała chrypkę, kiedy się podnieciła.”

Z chrypką w głosie panna Amelia powiedziała do porucznika:

– Ale pan nas jeszcze odwiedzi?

– Przyjadę po odbiór siana, i, jeżeli państwo pozwolą...

– Prosimy, prosimy koniecznie – nalegała panna Amelia. – Może zagramy w krokieta?

– Amelio, pan porucznik jest na manewrach – skarcił ją pułkownik. – Nie ma czasu grać w krokieta – po czym do oficera: – Kobiety nie wiedzą, co to służba, prawda poruczniku, proszę wybaczyć córce.

Porucznik ucałował rękę pani domu – która przez cały czas odezwała się tylko raz jeden: „Pogodę mamy piękną, byle tylko nie było deszczu!” – uklonił się głęboko przed pułkownikiem i czekał aż panna Amelia poda mu rękę. Przez chwilę jej wiotka, bezsilna dłoń znalazła się w „żelaznym uścisku jego palców” – co później wspominała – lecz oficer szybko ją puścił, jakby trzymał w rękę ślimaka pozbawionego kośćca, którego może przez nieuwagę zmiażdżyć.

Panna Amelia nerwowo zachichotała.

Po raz drugi porucznik przyjechał po odbiór siana i wtedy również wizyta jego była krótka, lecz panna Amelia zdążyła zaprosić go na niedzielny obiad. Zaproszenie panny Amelii poprawiła czy poparła jej matka.

– Bardzo będzie nam miło, jeżeli pan porucznik zechce przybyć w niedzielę na obiad o godzinie drugiej.

Porucznik przyjął zaproszenie – nie wiadomo, czy nie miał innych planów na niedzielę, najpewniej – ponieważ nie wiedział, czy wypada mu odmówić.

W nocy z soboty na niedzielę panna Amelia nie mogła zasnąć. Nigdy nie mogła spać, gdy zanosilo się na najmniejszą choćby zmianę w ustalonym trybie życia. Spodziewany obiad z porucznikiem zmieniał całkowicie charakter następnego dnia, niósł zapowiedź nieprzewidzianych, choć upragnionych zarazem doznań, na co z drżeniem czekała.

Panna Renata dała jej na noc jakiś środek uspokajający, ale gdy po północy obudziła się i zobaczyła przez szparę w drzwiach światło w sypialni panny Amelii, wstała i skradając się po cichu, otworzyła drzwi.

Przed gotowalnią oświetloną świecami w lichterzach z kryształowymi wisiorami siedziała panna Amelia w długiej białej nocnej koszuli i z natężeniem przyglądała się swemu odbiciu. Z lustra spoglądała na nią para zatrwożonych oczu w wąskiej, gładkiej, jakby powleczonej emalią twarzy, okolonej bezbarwnymi włosami. Postać miała nieco przygarbioną. „Amelio, nie garb się” – przypomniała sobie karcący głos guwernantki i próbowała się wyprostować. Wąskie ramiona i zwisające ręce miały coś z manekina, jakby było jej brak poczucia realności własnego ciała.

Wiotka i niepewna poruszała się w świetle o ograniczonej przestrzeni, z pałacem w centrum, skąd rozchodziły się promienie kilku kilometrów drogi – do kościoła, do sąsiedniego majątku, gdzie rezydował brat z bratową i do powiatowego miasta, nie licząc jazdy pociągiem, w zamkniętym coupé, do zakładu psychiatrycznego pod Gniezmem. Poza znanym obwodem rozciągał się inny świat, gdzie odbywały się manewry.

Nie wiadomo, od jak dawna siedziała tak nieruchomo przed lustrem. W pewnej chwili podniosła rękę i ucałowała swoje palce.

Panna Renata dyskretnie zamknęła drzwi, upewniwszy się, że świece stoją w bezpiecznej od finanek w oknie odległości.

3.

Obiad był znakomity. Podawał do stołu kamerdyner w liberii. Była zupa rakowa i karczochy, które porucznik jadł po raz pierwszy, podglądając innych, jak się do nich zabrać. Po deserze kawa, a po kawie, przy której porucznik musiał wysłuchać historii przodka, co poległ chwalebnie i niepotrzebnie już po powstaniu, panna Amelia wyszła z oficerem na zwiedzanie parku.

Prowadziła go ścieżką, znaczoną co kilka kroków donicami z kwitnącą ciemiernicą, potem dróżką wijącą się wśród krzewów magnolii i rododendronów, oleandrów i echium o żmijowatych liliowych kielichach i owłosionych listkach.

– A to jest echium, które moja babka sprowadziła z Madery.

– Z Madery? To musiało bardzo dużo kosztować.

– Babka była dość zamożna, kiedy papa się zaręczył i kupił dla mamy kolbę brylantową w Wiedniu, wiózł ją w asyście detektywa.

– To musiało być dawno?

– To było wtedy, kiedy arcyksiążę Rudolf odebrał sobie życie.

– Czytałem książkę *Tajemnica Meyerlingu*.

- To jest taka książka? Moja babka tańczyła na balu z arcyksięciem Rudolfem.
- Nie może być.
- Tak. Tańczyła. I mówiła, że widać nie miał innego wyjścia.
- Ja myślę, że zawsze musi być jakieś wyjście.
- Prawda? Ja też tak myślę. Zawsze musi być jakieś wyjście.

Znaleźli się na dróżce do lasu stanowiącego rezerwat saren i danieli. Rosły tu czerwone buki, dęby i sosny. Lasek był bowiem mieszany. Przy końcu dróżki wznosił się sarkofag powstańca troskliwie obsadzony dzikimi różami i paprocią.

- Nigdy nie widziałem takich wysokich paproci.
- Podobają się panu?
- Bardzo.

Panna Amelia rozejrzała się. Nie mogła zerwać paproci i rzucić mu pod nogi. Ale zerwała dziką różę, eglantynę, jak mówiła, i podała mu.

- To dla pana. Na pamiątkę.
- Dziękuję. Mam nadzieję, że było to ostatnie powstanie.
- Na pewno ostatnie. Niech pan przypnie do munduru – nalegała.

W ciągu całego spaceru, kiedy porucznik wdychał aromaty egzotycznych krzewów – „Pachną jak francuskie perfumy”, zauważył – panna Amelia chłonęła zapach munduru, zdrowego męskiego ciała, tytoniu i eau de Cologne firmy Stempniewicz w Poznaniu.

Następnego dnia przyjechała do ojca po lekarską poradę. Była niezwykle podniecona, miała silne kolatanie serca, które po zażyciu waleriany ustąpiło.

Po wizycie lekarskiej została jeszcze i bawiła się z nami w kwartet kwiatowy. Kwartet był w języku francuskim i miał zastąpić mademoiselle, na którą rodzice po dewaluacji nie mieli pieniędzy. Były tam fleurs odoriférentes (la rose, l'héliotrope, la tubéreuse, le narcisse), fleurs silvestres (la violette, l'églantine, le muguet), fleurs champêtres (le coquelicot, le bluets, la pâquerette, la marguerite), fleurs sans parfums (le tulipe, l'anémone) – więcej nie pamiętam.

- Niech każda wybierze sobie imię jakiegoś kwiatu – zaproponowała panna Amelia.
- My nie możemy być kwiatami – wołałyśmy jedna przez drugą – bo my jesteśmy owocami.

Jedna jest Wisienka, druga Malina.

- To ja będę Poziomka – oświadczyła panna Amelia i tak już zostało.

Nazajutrz panna Amelia znowu przyjechała do miasta, co było widowym aktem determinacji. Miasto fascynowało ją i wprawiało w stan niepewności jednocześnie. Chociaż przyjechała karetą, z dame de compagnie, chcąc załatwić sprawunki musiała opuścić kareta, która była właściwym i bezpiecznym miejscem, i chodzić po trotuarach, wstępować do sklepów, ocierając się o przechodniów, o obcych ludzi, którzy mogli się jej przyglądać (ale nie przyglądali się) i potrącać, choć chodniki były dosyć szerokie, tak że to się jej nie przytrafiało. Po ulicy Kolejowej chodził często imbecyl, który zaczepiał ludzi i jak nic mógł pociągnąć za rękę. Ale mogło też się zdarzyć, że spotka się oko w oko z porucznikiem, jako że oficerowie po służbie mieli zwyczaj defilować przez główne ulice w drodze do kasyna lub na umówione spotkanie.

Była piąta po południu. Panna Amelia zjadła u nas podwieczorek i oświadczyła, że przyjechała kupić perfumy.

- Tuberoza? Czy pani sądzi, że jest to zapach... pociągający? – radziła się mamy. Niestety, źle trafiła, bo mama, wśród wielu dziwactw, miała i to, że nie znosiła perfum i używała tylko czystą eau de Cologne marki Maria Farina.

- Chodzi pani o jakiś zapach podniecający? – poddała, a panna Amelia zaczęła chichotać.
- Podniecający, tak, jak to pani trafnie nazwała. Pani zawsze znajdzie...
- Le mot juste existe, il faut le trouver – powiedziała mama, szukając w myśli nazwy perfum z jakiejś powieści. Ale nie mogła sobie przypomnieć.
- Kiedy byłam żarączona, narzeczony przywiózł mi z Rivieri Violettes de Parme. A kiedyś przysłał mi do Zakopanego bukiet ciemno-czerwonych, prawie czarnych, i błękitnych róż.
- Błękitnych róż?
- Wyprodukowano wtedy taką odmianę w Berlinie. Mąż, wtedy mój narzeczony, służył w gwardii Wilhelma Drugiego.

– Więc może „Róża”, choć róże mamy u nas w parku.

– Niech pani kupi tuberozę.

Niestety w drogerii pani Wittigowej na rynku nie było „Tuberozy”. Trzeba było dokonać wyboru między „Quelques fleurs” Houbiganta, „La Rose” lub „La fougère” Coty’ego i „Caliphornian Poppies” Atkinsona. Panna Amelia zdecydowała się niespodziewanie dla siebie samej na „La fougère” o gorzkim zapachu leśnego pustkowie, gdzie stał sarkofag przodka-powstańca. Ale na tym zakupy bynajmniej się nie skończyły. Z rynku udała się na ulicę Kolejową do jubilera, pana Kulczyńskiego, gdzie poprosiła o skromniutki pierścionek, taki na pamiątkę. Wybrała pierścionek z turkusem, trochę dla niej za duży, w sam raz na mały palec męskiej ręki.

Po zrobieniu zakupów podążyła drobnym kroczeniem, ciągle w asyście panny Renaty, na rynek, gdzie czekała kareta. Była tak podniecona, że po drodze wpadła na jakiegoś oficera, który przepaszając i salutując, grzecznie ją wyminął. Prawdę powiedziawszy nie wiedziałaby jak postąpić, gdyby spotkała na ulicy – jego. „Dzień dobry panie poruczniku, pan mnie nie poznaje”. „Ależ oczywiście, co za traf”, albo może: „Co za szczęście” – rozmyślała już w karetce z „La fougère” i pierścionkiem w torebce.

Wróciła do domu i czekała. Na co? Na wizytę porucznika. Ale porucznik się nie zjawiał.

Chodziła więc do lasu, gdzie pasły się sarny i przystawała przy poszczególnych krzewach, niby stacjach Męki Pańskiej, oddając się kontemplacji. Aż pewnego razu panna Renata powiedziała:

– Manewry dawno się skończyły,

Jak to się skończyły?

Więc daremnie czekała na przyjazd oficera i wyczuwała jego obecność płynącą od pól. Lecz bynajmniej nie zrezygnowała.

– Dlaczego właściwie nie uczyłam się tańczyć? Gdybym chciała pojechać na bal... – zwróciła się do matki.

– Gdzie chciałabyś pojechać na bal? Wiesz, że w okolicy są małe dzieci i balów nie wydają.

– Mogłabym pojechać na bal do kasyna oficerskiego.

– W mieście stacjonuje pułk piechoty.

– Ale Anitka była na balu w kasynie.

Anitka była żoną brata, lubiła się bawić i opowiadano sobie o jej romansach skandaliczne plotki. W ogólnej euforii po zwycięskiej wojnie balowali wspólnie mieszkańcy dworu i górne warstwy mieszkańców miasta. Żeby jednak panna Amelia debiutowała na balu piechoty w powiatowym mieście, miast na balu ziemian w „Bazarze” w Poznaniu, byłoby co najmniej dziwne, jeśli nie wręcz niewłaściwe.

– Oczywiście tańczyć możesz się uczyć – powiedziała matka.

Zaczęto dowiadywać się o metra. Okazało się, że pan Kulczyński zanim się ożenił i założył sklep jubilerski był za młodu także metrem tańca.

Umówiono się, że dwa razy w tygodniu będzie przyjeżdżał specjalnie po niego przysłanym wolantem do pałacu i przy sposobności uczył Józia i pannę Renatę. Przede wszystkim tańczyli walca. Pan Kulczyński proponował również tango, ale temu sprzeciwiła się pani pułkownikowa. Nie byli pojętymi uczniami. Jeszcze najlepiej spisywała się panna Renata, ale rodzeństwo trzymało się sztywno; pan Kulczyński pocił się, wyginał im ręce, ustawiał nogi, kazał wsłuchiwać się w melodię płynącą z gramofonu.

– *Nad modrym Dunajem* z pewnością będzie się państwu dobrze tańczyło – pan Kulczyński podał ramię pannie Amelii i zaczął z nią wirować. Ale pannie Amelii wnet zakreśliło się w głowie. Nie była przyzwyczajona do kręcenia się w kółko.

– A w dzieciństwie? – dopytywał się pan Kulczyński.

– Także nie.

Lekcje trwały przez całą jesień. Nadeszła gwiazdka, minęły święta i rozpoczął się karnawał. Sprowadzona z miasta krawcowa uszyła pannie Amelii balową suknię z francuskiego velours chiffon barwy seledynowej.

Powinna kupić suknię w Poznaniu u Salusi Wężyk albo u Bonin – mniemała mama. Ale było obojętne, czy suknię uszyła domowa krawcowa, czy została kupiona w pierwszorzędnej firmie

w Poznaniu, gdyż na początku karnawału panna Amelia ... zachorowała. Piwowarczykowie nie mogli sobie z nią dać rady. Tłukła wazony i filiżanki, stłukła też perfumy „La fougère”.

Do ojca dzwoniły telefony, przysyłano karetę, w końcu ojciec orzekł: „Trzeba ją będzie oddać do zakładu”.

Panna Renata przyjeżdżała w tym czasie konferować z ojcem, zdawała szczegółowe sprawozdanie z zachowania chorej, a potem w salonie raz jeszcze omawiała sprawę z mamą.

Panna Amelia wykrzykiwała, że rodzice pozbawili ją szczęścia całego życia, że przepędzili porucznika (co nie było prawdą), że go więcej nie zaprosili (co było prawdą), a on czekał na zaproszenie i czekał, wreszcie zrozumiał, że go nie chcą, że nim gardzą, że uważają go za pacholka. Nie wiadomo dlaczego najwięcej obwiniała brata. Gdy wszedł do jej pokoju rzuciła się na niego z ciężkim ręcznym lusterkiem w srebrnej oprawie i byłaby niechybnie roztrzaskała je na jego głowie, gdyby Piwowarczykowie go jej nie odebrali.

– To ty, ty jesteś wszystkiemu winien – wołała z oczyma jak pantera. – Idź, idź natychmiast go przeprosić i sprowadź go tutaj.

Oczywiście o sprowadzeniu porucznika nie mogło być mowy. Nikt nie powinien zobaczyć jej w tym stanie; a ona wykrzykiwała coraz gorsze rzeczy, że wołałaby być dziewczką folwarczną, tak, dziewczką, i wieść życie na swobodzie niż być więziona w pałacu. „Ale przecież nie jest więziona – mówiła panna Renata – sama nie chce nigdzie bywać. Boi się ludzi. Jakby były w niej dwie różne osoby. Jedna nieśmiała, zamknięta, cofająca się przed każdą decyzją. Druga szalona, jak... jak...

„Bachantka” – dokończyła mama.

Po powrocie z zakładu panna Amelia popadła w zwykłą w takich razach apatię. Na gracowanie ścieżek było za wcześnie.

– Nie mogą państwo zaprosić tego porucznika? – zwrócił się ojciec do rodziców panny Amelii.

– Ale co ma z tego wyniknąć? Przecież nie może wyjść za niego za męża. Za oficera piechoty. Bez nazwiska i bez środków na utrzymanie żony.

– Jeżeli rzeczywiście nie może, lepiej niech go państwo nie zapraszają.

– Czy pan doktor myśli, że to by ją raz na zawsze uleczyło?

– Raz na zawsze? Na to pytanie nikt nie może dać odpowiedzi. Ale gdyby prowadziła normalne życie, miała męża i dziecko, i cel, może...

W pałacu toczyły się narady.

Należy ściągnąć porucznika bez względu na to, co z tego wyniknie.

Nie, tak nie można.

Sprawę należy postawić jasno. Należy mu dać poznać, że może się starać o Amelię. Należy mu ułatwić sytuację. Sam nigdy się nie ośmieli.

Ale jak to zrobić?

Najpierw trzeba zasięgnąć języka u dowódcy pułku. To zadanie wziął na siebie sam pułkownik. Wyszukał jakiś pretekst, ażeby spotkać się z dowódcą i jał wypytywać o porucznika, który latem przyjeżdżał do nich po siano.

Jaki właściwie jest?

Czy nie pije?

Czy nie ma nałogów?

Czy nie karciarz?

A może kobieciarz?

Dowódca coraz bardziej zaskoczony dawał odpowiedzi wymijające. Czyżby porucznik podczas manewrów uwiódł jakąś dziewczynę folwarczną? O co właściwie chodziło? – domyślał się.

Porucznik pełnił służbę dobrze. Pił tyle co inni, ani mniej ani więcej, burd żadnych nie robił.

Kiedy spotkał porucznika w kasynie, przyjrzał mu się bacznie i zagadał:

– Czy pan tam się naraził komu?

– Nie sędzę. Dlaczego pan pułkownik pyta?

– Bo wspominali o panu.

– Źle wspominali?

– Nie – uciął krótko pułkownik i więcej o tym nie było mowy.

Tymczasem w pałacu ojciec panny Amelii zdawał sprawę z rozmowy z dowódcą pułku. Więc karcierz ani pijak nie jest. Burd nie robi, za spółniczkami nie lata – dodał sam od siebie.

- No więc może by zaryzykować – powiedziała pani. – Choć ryzyko jest duże.
- Bądź co bądź, oficer to człowiek honoru. Oczywiście przyznaję, że ryzyko jest.
- Ale jeżeli rzeczywiście kocha Amelię.
- Ba, jeśli kocha, trzeba go wysondować.

Uradzono, że Józio, brat panny Amelii pojedzie zaprosić porucznika. Niech przyjeżdża, niech Amelia się nim nacieszy, i niech będzie, co Bóg da. „Zresztą być może przy bliższym poznaniu się do niego zrazi” – pocieszała się matka panny Amelii.

- Nie zrazi się – referowała mamie panna Renata. – Żeby nie wiem, co zrobił, nie zrazi się.
- Ile panna Amelia ma lat?
- Dwadzieścia dziewięć i żadnego dotąd konkurenta; powiedziałabym nawet, że nie widziała dotąd młodego zdrowego mężczyzny. Bo musi pani wiedzieć, że u wujostwa mało kto bywa. A jeśli – to małżeństwa.
- Nie miała żadnych kuzynów? Zwykle flirty zaczynają się od kuzynów.
- Żeby ich pani widziała! W każdym razie ci, co bywali u wujostwa, nie nadawali się do flirtu.
- Mogło się zdarzyć gorzej – zauważyła mama – gdyby się zakochała w kuchciku albo w stangrecie.

– Właśnie to samo powiedziałam cioci. Mogła się zakochać w stangrecie.

Skoro już zdecydowano się na porucznika, trzeba było przystąpić do działania.

- Ale czy on odważy się oświadczyć? – zapytała rozsądnie matka panny Amelii.
- Trzeba go do tego wyraźnie upoważnić – powziął męską decyzję pan pułkownik.

Opatrzony we wszelkie pełnomocnictwa Józio został wydelegowany do miasta, do porucznika.

Ojciec nie sądził, ażeby Józio się szczególnie nadawał do tej misji, gdyż uważał, że Józio jest nieco mente captus. Nie zdał nawet matury i po sześciu klasach gimnazjalnych zabrał się do gospodarowania. W wojsku nie służył. Mieszkał na razie z rodzicami i siostrą, dopóki się nie ożeni. Ale nie wyglądało na to, ażeby potrafił się ożenić bez pomocy.

Pannie Amelii na razie o niczym nie mówiono.

Józio, ażeby swojej wizycie nadać mniej oficjalny charakter, zostawił ekwipaż w zajeździe, po czym udał się piechotą na ulicę Kościuszki. Porucznik mieszkał na drugim piętrze w wynajętym pokoju z balkonem. Szczęśliwie Józio zastał go w domu. Porucznik był w butach i spodniach, ale bez kurtki, którą czym prędzej założył i skwapliwie podsunął Józiovi krzesło. Pokój byłumeblowany skromnie i niegustownie, tylko nad łóżkiem wisiał ryngraf. Józio przez chwilę kręcił się i rozglądał.

- Ładny ma pan widok z balkonu.
- Dosyć ładny. W każdym razie mam blisko do koszar.
- A, do koszar. A dlaczego to kochany porucznik o nas zapomniał? I wcale nie zjawia się.
- Po prostu nie miałem powodu do odwiedzin.
- Latem był pan u nas na obiedzie, a potem z Amelią przeszedł się po parku. Amelia bardzo miło wspomina ten spacer i chciałaby, żeby pan znowu...
- Ależ teraz jest za zimno na spacer.
- Tak, oczywiście, ale salony mamy ogrzewane. Moja siostra, to jest rodzice nalegali, ażeby pan zaprosił. Właśnie dlatego tu jestem. Zrobiłem to na jej, na ich życzenie.
- Dziękuję. Nie chciałbym jednak się narzucać.
- Pan mnie źle zrozumiał, poruczniku. Jest pan gościem pożądanym. Tak. I rodzice wyrażają zgodę.
- Na moją wizytę?
- Nie tylko.
- Nie rozumiem.
- A o czym pan z Amelią rozmawiał w parku?
- Właściwie to pana nie powinno obchodzić. Ale o ile sobie przypominam, to panna Amelia pokazywała mi echium, które jej babka sprowadziła z Madery.
- Owszem. Ale co to ma do rzeczy?

– Właśnie.

– Bo gdyby pan się zdecydował, to, więc rodzice, pomimo różnicy stanu, mam na myśli majątkowego, bo ranga oficera jest, równa się szlachectwu, tak powiedział mój ojciec, zapewniam pana. Więc rodzice nie będą mieli nic przeciwko temu, ażeby starał się o rękę Amelii, jeżeli tego wymaga jej zdrowie.

– Słyszałam, że panna Amelia chorowała. Jak miewa się obecnie?

– Zupełnie dobrze. Brak jej tylko pana.

– Propozycja państwa stanowi dla mnie prawdziwe zaskoczenie. Nie starałem się i nie mam zamiaru starać się o względy panny Amelii, choćby z tej przyczyny...

– Niech pan pozwoli. Nie chciałem urazić pańskiej ambicji. Ranga oficera odpowiada szlachectwu. Byłby pan traktowany jak równy, więcej – byłby pan mile widziany. Amelia będzie, to znaczy jest, bardzo posażna.

– Nie wątpię ani w zalety panny Amelii, ani w życzliwość jej rodziny. Ale nigdy nie powiedziałem, ani nie zrobiłem nic takiego, co by pannie Amelii dało do myślenia, że jestem nią zajęty.

– Przyjął pan od niej eglantynę.

– Czy miałem ją wyrzucić?

Wstał. Józio jeszcze nie odchodził.

– Więc co mam jej powiedzieć?

Porucznik nie odpowiedział i nie usiadł. Stał dalej. Po chwili wahania Józio wstał również.

– Może pan się namyśli.

– Już się namyśliłem.

– Proszę, niech pan nie ma do mnie żalu.

– Proszę o to samo.

Józio za dużo mówił o uczuciach Amelii, a za mało o dostatku, w jaki by opływał. Ale widać to porządny chłopak, że nie leci na bogactwo – mówiła panna Renata do mamy przy podwieczorku, który podała Julietta, podczas gdy panna Amelia konsultowała się w pokoju lekarskim.

– Uważam, że to nie jest dobrze, iż Józio zamknął sprawę. Trzeba go było tylko zaprosić. Nic więcej. Niech by zaczął bywać i przywyknął. I zasmakował w dobrobycie. Co prawda Amelia jest bardzo męcząca na dłużej. Ale nie musiały z nią ciągle przesiadywać. Przecież ma służbę w pułku. A może by chciał gospodarować. Bądź co bądź odrzucił wielki los. Chyba, że ma inną. Co pani myśli?

– Myślę, że gdyby się zdecydował, to byłoby dobrze dla panny Amelii. Przede wszystkim dla niej. Jedno jest pewne, że nie chce zawrzeć tej transakcji, że odrzucił – jak pani mówi – wielki los.

4.

Nadeszło lato. Miały zacząć się żniwa. A po żniwach manewry. Ale przedtem wybuchł strajk fernali. Akurat w same żniwa.

Strajk w Wielkopolsce?

Tego dotąd u nas nie bywało.

To przyszło ze Wschodu, zza Prozny, jak wszystko złe.

Nie ulegało wątpliwości, że trzeba temu położyć kres, bo bez względu na to, jak wyglądały racje, zboże musi być zebrane. Inaczej grozi klęska głodu. Tymczasem zboże zaczynało sypać. Służba pałacowa wyszła w pole, ale strajkujący przepędzili ją kijami.

– Pokojówki poszły w pole, a ja sama zamiatam pokój. Renia i mama są w kuchni – relacjonowała przez telefon panna Amelia, najwidoczniej kontenta z włączenia się do akcji.

Ziemiańskie zwrócili się o pomoc do wojska. Na pola zostali ściągnięci jeńcy ukraińscy ze Szczypiorna. To rozjuszyło robotników. Nie po to wzięli jeńców, żeby teraz przeciw nim byli użyci. Fornale ruszyli na dwór, który pierwszy sprowadził jeńców na pola.

Tłum zawsze wzbudzał postrach w pałacach, stojących jak samotne twierdze, bronione przez żywoploty, w najlepszym razie przez obmurowania z żelaznymi sztachetami.

Dwory poprosiły o załogi wojskowe.

Biskup wzywał robotników do przerwania strajku i czekania na zawarcie porozumienia między związkami zawodowymi rolników a pracodawcami.

Również gazeta *Robotnik* ostrzegała przed przystępowaniem do strajku, do którego robotnicy zostali pchnięci przez nieodpowiedzialnych przywódców nieudolnie reprezentujących ich interesy.

Ale fornale nie chcieli słuchać ani głosu biskupa, ani zaleceń *Robotnika*. Niecierpliwość i gorycz podniosły się jak wezbrane fale, przelewające się przez nieubezpieczone koryto rzeki.

Coraz więcej fernali przystępowało do strajku i ruszało – jedni forsować bramy wiodące do pałacu, inni na pola przepędzać żniwiarzy. Na pomoc policji został wezwany porucznik Trenker z pułku piechoty stacjonującego w powiatowym mieście. Miał za zadanie nie dopuścić do wtargnięcia strajkujących do pałacu (tego, który pierwszy ściągnął jeńców na pole) ani do przepędzenia żniwiarzy. Ufał, że dokona tego bez użycia siły. Wojsko po zwycięskiej wojnie było nie tylko otoczona glorią, lecz powszechnym kultem.

Jak tylko zjawił się na polu, otoczył go tłum. Porucznik wezwał strajkujących do rozejścia się. Ale nikt się nie ruszył. Powtórzył rozkaz. W odpowiedzi fornale zaczęli napierać na żołnierzy, chcąc rozerwać kordon. Tego zaiste porucznik nie przewidział. Krew odplynęła z jego twarzy, na czoło wystąpiły krople potu. Raz jeszcze wezwał do rozejścia, gdy i tym razem to nie poskutkowało, wydał rozkaz: „Do ataku broń!”

Nikt, ani on sam, nie wierzył, że broń zostanie użyta. Nagle od strony wojska padły strzały. Ludzie rzucili się na ziemię, inni zaczęli uciekać. Porucznik stał nad rowem, za którym leżeli ranni i zabici.

– Jezus Maria, ludzie, co wyście mi narobili – powiedział trzęsącymi wargami.

Z ziemi podniósł się jakiś człowiek

– Panie poruczniku.

Porucznik rozpoznał w nim byłego sierżanta.

– Panie poruczniku – nie zdążył wykonać żadnego gestu, bo porucznik go uprzedził. Podniósł pistolet i wystrzelił. Tamten osunął się na kolana. Porucznik raz jeszcze podniósł broń, przyłożył do skroni i wypalił.

Żołnierze stali odniemiali ze spuszczoneymi karabinami. Z ścierniska zwolna podnosili się ludzie i zaczęli iść w stronę wsi.

Na polu zostali naprzeciw siebie były sierżant i porucznik, obaj zabici wystrzałami z tej samej ręki.

W przedpokoju zadzwonił telefon. Ojciec poszedł go odebrać. Po chwili wrócił do jadalni.

– Porucznik Trenker się zastrzelił. Są zabici i ranni. Zostałem wezwany, ażeby ich opatrzyć.

– Czy wydał rozkaz strzelania do strajkujących? – zapytała mama.

Nie wiem. Podobno pierwszy strzał padł przez pomyłkę. Dwa strzały oddał Trenker – z pistoletu. Ten drugi wymierzył sobie w skroń.

Wkrótce potem strajk się skończył.

Final

Uplętnęło wiele lat. Panna Amelia przebywała w zakładzie, wracała do pałacu, regularnie przyjeżdżała do ojca na konsultacje i zostawała na podwieczorku. Była wojna, konfiskata majątków, ruina dworów. Panna Amelia wszystko przetrzymała. Przeżyła swoich rodziców i wielu krewnych i osiadła w powiatowym mieście, w willi, nabytej przez braterstwo, szczęśliwie kupionej po licytacji majątku, jeszcze przed wojną. Miała więc dach nad głową, co nie oznaczało środków do życia. Z dawnych obiektów pałacowych ocalał portret Henryka Dąbrowskiego, miniatura Davouta i prababki, która z nim romansowała, zegar ormułu i stare srebra.

Mama nasza umarła przed wojną. Ale żył ojciec i Julieta prowadziła mu gospodarstwo. Panna Amelia często bywała jak za dawnych czasów, tyle że nie przyjeżdżała karetą, a przychodziła pieszo. Zostawała na podwieczorku, wypijała z ojcem kawę, potem przez czas jakiś siedziała sama w dawnym salonie, który obecnie, po zmniejszeniu mieszkania, był jadalnią. Panna Amelia miała zwyczaj meldować się: „Proszę powiedzieć panu doktorowi, że przyszła Poziomka”. Jeździ

zdarzyło się, że bawiliśmy u ojca, przeważnie na zmianę – raz jedna, raz druga – panna Amelia niezmiennie przypominała: „Wisienka, Malinka i Poziomka”. Lubiliśmy jej wizyty, gdyż stanowiły pewną ciągłość z lat dziecińczych, i gdyby przestała przychodzić, z pewnością by nam jej brakowało. Z wiekiem przeszły jej ataki szaleństwa. Tylko jakby niezupełnie docierała do niej rzeczywistość. Od czasu do czasu chichotała tak sobie do wnętrza, bez żadnej oczywistej dla otoczenia przyczyny. Potem umarła jej bratowa, potem umarł brat. Panna Amelia została sama w willi z lokatorami, którzy wykupywali relikty dawnego pałacu, ażeby panna Amelia miała środki na życie. Po kilku latach umarł nasz ojciec.

Pewnego razu, gdy przyjechałam do rodzinnego miasta, Julietta, która wraz z rodziną mieszkała w naszym domu, powiedziała do mnie:

– Przychodzi tu czasem panna Amelia.

– Przychodzi? Do kogo?

– Na podwieczorek. Mówi, że przyszła Poziomka. I zawsze pyta o Wisienkę i Malinę, czy przyjadą z Warszawy.

– I co jeszcze mówi?

– Czy to prawda, że kochał się w niej jeden oficer z pułku piechoty, ale rodzina nie pozwoliła jej wyjść za niego za mąż? I on z rozpaczny odebrał sobie życie.

– No, niezupełnie tak było. Ale może lepiej, że tak myśli.

Nie mam żadnej pewności, że porucznik Trenker był tym porucznikiem, który przyjechał do pałacu po siano. W rzeczywistości nie znałam jego nazwiska. Jedyna poszlaka, to twierdzenie panny Amelii, że zginął śmiercią samobójczą. A że w owym czasie jedyny oficer, który odebrał sobie życie w naszym mieście, to był porucznik Trenker, chociaż zupełnie z innego powodu, niż podawała panna Amelia, można domniemywać, że to był on.

Ale są to tylko domysły. Być może są to dwie zupełnie różne osoby, które moja imaginacja połączyła w jedną.
